NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. z przes. 988.000· — Mk. Półrocznie 1,976.000· — Mk. Rocznie 3,952.000. —
Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.
CENY OGŁOSZEŃ: W części inseratowej na ostatniej stronie za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy Mk. 8.000 – cała kol. Mk. 16,000 000 — pół kol. Mk. 8.000,000 — 1/4 kol. 4.500.000 — 1/8 kol. 2.500.000 — 1/16 kol. 1.300.000. — W części redakcyjnej za 1 wiersz milim. jednoszpaltowy 20.000 – cała kol. Mk. 22.000,000 1/2 kol. Mk. 11.000.000 — 1/4 kol. Mk. 6 000.000 — 1/8 kol. Mk. 3.500.000 — 1/16 kol. Mk. 2.000.000. — Układ tabelaryczny 50 % drożej. Ogłoszenia zagraniczne 50 % drożej.
Oprócz ceny za zajęte miejsce należytość za klisze według cen bieżących obecnie 50.000 za centm.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 200.000 Marek.**

Rok XX. Kraków, 15 grudnia 1923. Nr. 50.

Los Jaworzyny rostrzyga się



Widok na Murań i Hawrań z drogi do Morskiego Oka. U stóp Murania leży Jaworzyna Spiska.

Od Wydawnictwa.

W celu postawienia pisma naszego na możliwie wysokim poziomie Wydawnictwo „Nowości Illustrowanych“ przystąpiło do zasadniczej reorganizacyi.

W reorganizacyi tej dążąc do uzgodnienia dwuch zasad popularności, która stanowi tyloletnią tradycyę pisma naszego, i wysokiego poziomu kulturalnego zwróciliśmy się do szeregu wybitnych literatów i uczonych z prośbą o współpracę, której przyrzeczenia już z różnych stron otrzymaliśmy.

W każdym numerze obok rozszerzonego, oryginalnego materyału ilustracyjnego z całej Polski i ze świata będziemy zamieszczać przynajmniej jeden obszerniejszy artykuł z jakiejś dziedziny życia politycznego, przemysłu, handlu, armii, floty, lotnictwa, nauki lub sztuki i literatury. Zapewniliśmy sobie korespondencye z Paryża, Rzymu, Berlina i i. Będziemy się starali połączyć szybkość i obfitość informacyi ilustracyjnej z popularnym lecz poważnym omówieniem aktualnych spraw politycznych, społecznych, naukowych, literackich i wojskowych.

Prace organizacyjne ukończone zostaną przed Nowym Rokiem. Już w tym numerze jednak dajemy Czytelnikom naszym korespondencyę ze stolicy — pióra jednego z najwybitniejszych publicystów polskich — ilustrowaną rysunkami wykonanemi specyalnie dla „Nowości Illustrowanych“ przez znanego artystę-malarza p. J. J. Szperbera.

Pozatem najbliższy nasz numer Gwiazdkowy wyjdzie w zwiększonej objętości, przynosząc obfitą treść, która oprócz zwykłego działu tygodniowego zawierać będzie artykuły i utwory pióra najwybitniejszych literatów polskich z nazwiskami ś. p. Eugeniusza Małaczewskiego i Włodzimierza Tetmajera na czele, oraz specyalny artykuł obficie illustrowany o Jaworzynie.

Los Jaworzyny rozstrzyga się!

W chwili, gdy piszemy te słowa — los Jaworzyny rozstrzygać się będzie w Genewie. Aeropag Ligi Narodów rozważać będzie sprawę, opierając się na wyroku wydanym przez Trybunał Haski. Dookoła wyroku tego wre od dwuch tygodni zacięta walka polemiczna między organami większości rządzącej i opozycyi. Jedna strona twierdzi, że wygraliśmy sprawę w tym procesie, — druga — że wyrok jest naszą klęską. Zaciekawienie i namiętności rozwichrzyły się tak dalece, że z tonu prasy obu obozów możnaby sądzić iż najważniejszą sprawą jest — nie ocalenie Jaworzyny dla Polski, nie zwycięstwo w walce z podstępnym chciwym sąsiadem o perłę naszych Tatr — lecz zwycięstwo w polemice wewnętrznej o to, kto ma racyę, — optymistyczne komunikaty rządowe — czy też pesymizm opozycyi. I tymczasem gdy prasa polska sprzecza się między sobą o to, kto ma racyę, sprawa Jaworzyny toczy się dalej. Sprawa wróciła z Hagi na forum Ligi Narodów i po zdecydowaniu przez Ligę odejdzie jeszcze do jednej instancyi — do Rady Ambasadorów w Paryżu, która ograniczyła rolę swą w tej sprawie ze względu na drażliwą sytuacyę wobec Czechów (z nami niestety mniej się liczą) do ogłoszenia tylko decyzyi, którą ma Liga Narodów powziąć.

Spoglądając objektywnie na cały spór toczący się na rodzimym naszym rynku politycznym i nie interesując się sprawą, kto ma w tym sporze więcej racyi, tem więcej, że nikt jeszcze nie zna autentycznego pełnego tekstu wyroku haskiego — możemy stwierdzić tylko jedno. Wyrok haski sprawy nie zamknął bynajmniej. Sprawa się nadal toczy. Jaworzyna jest nadal w niebezpieczeństwie. Obowiązkiem rządu jest nietyle szerzenie przedwczesnego optymizmu ile energiczna i zręczna akcya dyplomatyczna na terenie Ligi Narodów. Obowiązkiem społeczeństwa jest nie głoszenie przedwczesnych rekryminacyi lecz czuwanie i utrzymywanie świadomości i opinii, twardo stawiającej nasze prawa do naszej ziemi i zdolnej do odpowiedniej wdzięczności za krzywdę, wyrządzaną Rzeczypospolitej przez sąsiedzką chciwość, czy niedołęstwo władz rodzimych.



Z życia Stolicy: Ława sędziowska na rozprawie przeciw por. Bagińskiemu i ppor. Wieczorkiewiczowi. 1) Mjr. Rakowski, 2) płk. Szaniawski, 3) przewodniczący Sądu płk. Daniec, 4) ppłk. Kindelski, 5) mjr. Dąbrowski. Rysował dla „Nowości Ill.“ art mal. J. J. Szperber.

Z ŻYCIA STOLICY

(od naszego korespondenta w Warszawie)

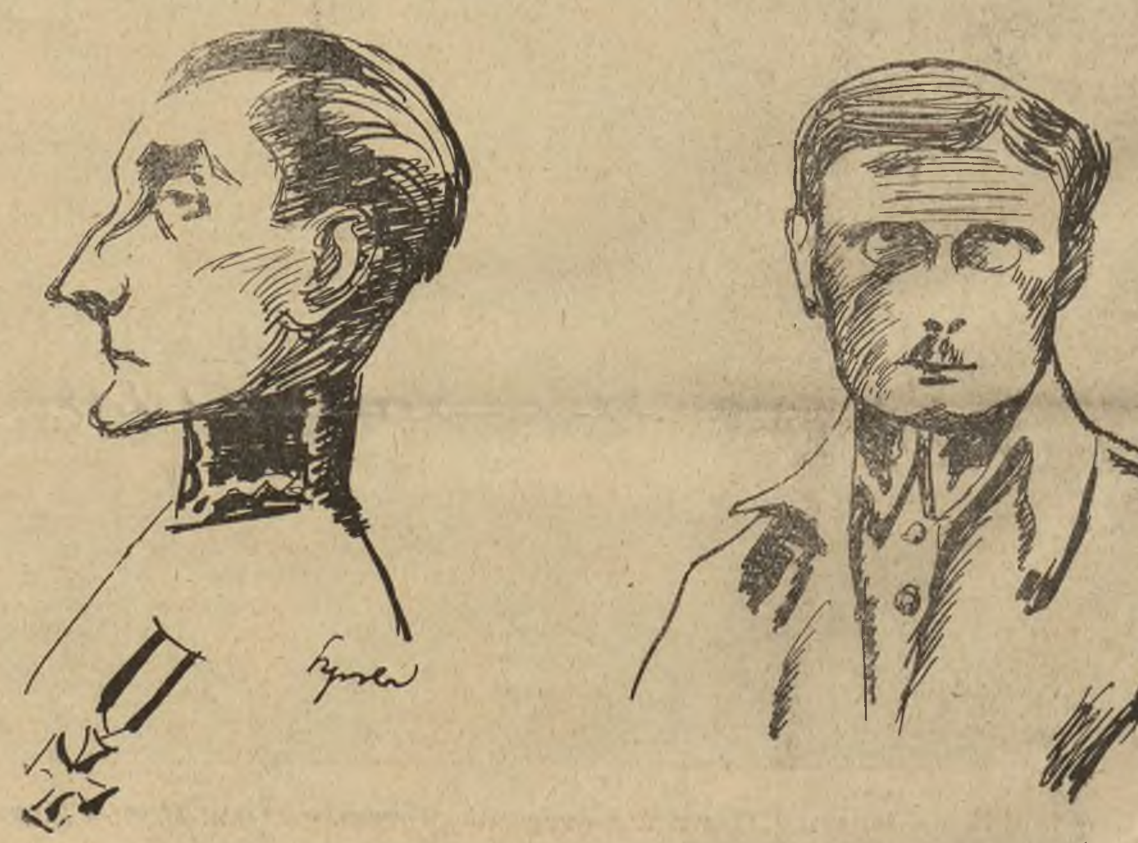
Warszawa, w grudniu.

Ubiegły tydzień zakończył się jak wiadomo dosyć dramatycznem załatwieniem trzech senzacyjnych spraw polityczno-kryminalnych, mianowicie wydaniem posłów *Stańczyka i Bobrowskiego,* skazaniem na śmierć oficerów Bagińskiego i Wieczorkiewicza wreszcie umorzeniem procesu głośnego watażki *Machny* o przygotowanie powstania ukraińskiego w porozumieniu z bolszewikami.

Ostatnia ta sprawa poza sferami prawniczemi mało stosunkowo zaciekawiła opinię publiczną. Zapomniano już trochę dawnego postrachu Ukrainy — bandyty i anarchisty, wroga wszelkiej władzy i spokojnej ludności.

Znacznie więcej zaciekawienia i namiętności politycznych wzbudziła sprawa uchylenia nietykalności zamieszanych w tragiczne wypadki krakowskie posłów socyalistycznych. Szeroka opinia publiczna, niezależna coraz powszechniej od sejmowego partyjnictwa, chętnie powitałaby i z uznaniem dobrowolne oddanie się w ręce sądów skompromitowanych posłów, w celu oczyszczenia się w oczach całego społeczeństwa od ciążących na nich zarzutów. To też szkoda, że stało się inaczej. Niemniej jednak taktyka tak zwanej prawicy w danym wypadku pokazała zbyt wyraźnie tendencye pozbywania się możliwie wielkiej ilości oponentów, nie zaś zadośćuczynienia wymaganiom sprawiedliwości. Zamiast czysto rzeczowego potraktowania tak drażliwej sprawy, ta strona „wysokiej“ izby przywłaszczyła sobie rolę sędziego będąc równocześnie oskarżycielem. Z tej też strony wyszła ohydna kampania starająca się na podstawie prowokacyjnych okrzyków nieodpowiedzialnych elementów z pośród zrewoltowanego tłumu, zwalić inicyatywę krwawych rozruchów na samego marszałka Piłsudskiego, wreszcie na całą P. O. W., nawet na legionistów w czambuł, zapominając widocznie, że tradycyą legionową szczycą się zarówno minister *Szeptycki* jak i zasłużony narodowy demokrata *Józef Haller.*

Nastrój ten stanowił też główne i zasadnicze tło słynnego procesu *Wieczorkiewicza i Bagińskiego.* Sprawa ta rzeczywiście poruszyła całą opinię publiczną. Usilne staranie rządu nadania tej sprawie wyraźnego charakteru wewnętrzno-politycznego uczyniła ten proces wysoce senzacyjnym dzieląc opinię na dwa zwalczające się obozy, zależnie od sympatyi lub antypatyi do P. O. W. Wiadomo, że trudno zawsze u nas w Polsce o opinię wyłącznie rzeczową, niezależną od przesądów, uprzedzeń i osobistego sentymentu. To też na tem tle mniej się interesowano faktem winy czy niewinności oskarżonych, najwięcej wagi przypisując ustaleniu pobudek, czy słuszność ma prokurator podejrzewając w działalności oskarżonych przejawy spisku „obozu tajnych celów“ potronowanego przez „wysoko postawioną wysoką osobę“, dążącego do przewrotu politycznego na rzecz organizatorów. Nić ta oczywiście miała doprowadzić w prostej linii do zamachu krakowskiego. Mając na szczęście nieco bliższy wgląd w tą tajemniczą sprawę, mogę z całą stanowczością stwierdzić, że i w tym wypadku jak w tak wielu innych zawsze i wszędzie fakt posługiwania się dywersyi nieprzyjacielskiej, oczywiście bolszewickiej, naiwnością członków i niepotrzebnie dzisiaj konspiracyjnym (z przyzwyczajenia!) charakterem organizacyi politycznej, będącej spadkobiercynią dawnej zasłużonej bądź co bądź Ojczyźnie Polskiej Organizacyi Wojskowej. Sąd też słusznie i sprawiedliwie nie wdając się w ocenę szalonych pobudek zasądził podsądnych stwierdziwszy faktyczną



Z życia Stolicy: Skazani na śmierć za organizowanie zamachów bombistycznych: Por. Bagiński. Ppor. Wieczorkiewicz.



Z życia Stolicy: Proces Bagińskiego i Wieczorkiewicza. 1) Prokurator ppłk. Janczewski, 2) obrońca Wieczorkiewicza kpt. Zieliński, 3) protokolant kpt. Wójcik.

ch winę w organizowaniu zamachów bombowych. Natomiast szeroka opinia publiczna bardzo zaniepokojona jest przerwaniem dalszego śledztwa przez M. S. Wewn. podejrzewając chęć niedopuszczenia do analogicznego skompromitowania istniejących u nas tajnych organizacyi nadużywających odmiennej zupełnie sławy włoskiego faszyzmu. W ten sposób znany zamach na dom robotniczy pozostał owiany tajemnicą, ku uciesze centrali moskiewskiej tej całej prowokacyjnej roboty dywersyjnej.

Pozatem wciąż znajdujemy się pod znakiem przesilenia. Brak zupełny jakiegokolwiek wspólnego programu naprawy skarbu po stronie wysokich stronnictw rządzących i niemożność wysunięcia wskutek tego obdarzonego rzeczywistem ich zaufaniem nowego ministra skarbu. Dzięki takiej konstelacyi utrzymuje się wciąż u steru ośmieszony doszczętnie *Kucharski,* zmieniając swój „program" doraźnie z dnia na dzień i ucząc się podstawowych pojęć o skarbowości, dotychczas tak bardzo mu obcej, na posiedzeniach rady finansowej, z której jednak główny profesor *p. Michalski* zniechęcony do ucznia, ustąpił. Zresztą wybór jest dla rządu słaby, gdyż wybitniejsi finansiści jak p. *Wł. Grabski,* wzdragają się od wszelkiej z nim współpracy. W takich warunkach nie można też liczyć na powrót p. Hiltona Younga. Oczywiście w sferach narodowo-demokratycznych przypisują obecne cała jego „niechęć" do umysłu i planów p. Kucharskiego rzekomym wrogim polityce francuskiej pobudkom rządu angielskiego. W rzeczywistości może tu być conajwyżej mowa o spostrzeżeniach destrukcyjnych dla nas skutków gospodarczych wynikających ze spowodowanej okupacyą Ruhry katastrofy walutowej Niemiec. Ponieważ niezależny sąd szczerze życzliwego nam cudzoziemca wypadł nieprzychylnie dla polityki gospodarczej zarozumiałego rządu, nasi „mężowie stanu" przypisują to koniecznie nieczystym pobudkom „Und willst Du nicht mein Bruder sein, so han ich Dir den Schädel ein", brzmi przecież znana dewiza obozu „narodowego", stosowana niedawno z takiem powodzeniem do p. Witosa i jego stronnictwa. Niemniej jednak jest publiczną tajemnicą, że pozostali w Polsce współpracownicy *p. Younga,* chcąc za wszelką cenę uzyskać laury szczęśliwych doradców i nie widząc tej możności w współpracy z obecnym systemem szukają usilnie kontaktu z sferami pozaparlamentarnemi, głos których zaważy na szali z chwilą spodziewanego prędzej czy później załamania się interesów tej lub innej grupy, lub niemożności sklajstrowania odmiennych programów rolnych i innych rządzących stronnictw przy pomocy koncesyi wywozowych i licencyi jajczarskich, rozpadnięcia się obecnej większości i ostatecznego w takim wypadku skompromitowania się parlamentaryzmu w Polsce.

W takich warunkach nie wytrzymał i tak lojalny żołnierz jak gen. Szeptycki. Brak nadziei na pozyskanie go z powrotem dla gabinetu pomimo skreślenia najżywotniejszych pozycyi budżetu wojskowego, narażającego na zgubę nietylko tak zniewidzone przez p. Kucharskiego lotnictwo ale nawet cały dział zaopatrzenia armii, i to w chwili grożących z wszech stron niebezpieczeństw, zmusza rząd do szukania następcy. Wątpię, czy zgodzi się na to którykolwiek z generałów, chociaż presya w tym kierunku bardzo silna jest na gen. Raszewskiego ze strony endeckich sfer poznańskich. Pozostała jeszcze kandydatura cywilna p. Korfantego. Lecz to chyba nie interes dla niego.

Rozgrywa się obecnie sąd nad sprzymierzeńcem p. Kucharskiego od pożyczki zagranicznej, senatorem *Hamerlingiem.* Sprawa jest bardzo przykra dla Piasta, który na ogół nie bardzo zważa na źródło swoich dochodów. P. Hamerlinga znam i osobiście i z reputacyi. Posługiwanie się nim zwłaszcza w stosunku do Ameryki, gdzie ma ustalone wskutek jego płatnej propagandy germanofilskiej opinię, było ze strony p. Kucharskiego wprost szaleństwem. Dowodzi już conajmniej niesłychanej jego naiwności, że użył „moralnego kredytu" tego aferzysty dla większego powodzenia sławetnego swojego szantażowania opinii pożyczką zagraniczną.

Bardzo miłych i sympatycznych gości, od których w dodatku wiele pożytecznego możemy się nauczyć w dziedzinie naprawy skarbu, mieliśmy tutaj w osobach znanych polityków austryackich *dr. Mataji i dr. Weissa.* Charakterystycznem jest tylko, że najbardziej „bezgraniczne" serdeczności zaznali właśnie ze strony tych, którzy szczycą się jaknajdalej nieprzejednaną nienawiścią i bezwzględnem potępieniem wszystkiego, co jest niemieckie.



Życie Stolicy: Poseł Adam Stańczyk wraz z posłem Bobrowskim wydany przez Sejm — stanie przed sądem.



Życie Stolicy: Poseł dr. Emil Bobrowski, którego wydanie Sądowi uchwalone przez większość sejmową, było przyczyną burzliwych zajść w Sejmie.

Znamiennem jest, że wobec znanej nierealności wszelkich rządowych koniuktur lewicowych właśnie w sferach będących w bliskim kontakcie z angielskimi doradcami pozostał koalicyjny projekt, czy też zbiorowe marzenie uratowania Polski przez rząd — *Sikorski,* Wład. Grabski, Ponikowski, Z. Chrzanowski, Dmowski! Ponieważ taki pogląd znakomicie odzwierciadla nastrój tych szerokich mas stolicy mających swój organ w czerwonym kuryerku, zmysł krytyczny Anglików tak optymistycznie oceniający przyszłość gospodarczą Polski tym pomyślniejszego dla nas nabierze znaczenia. Zaznaczyć trzeba, że koncepcya ta bardzo życzliwie odnosi do przodującej roli pierwszego żołnierza Polski, chorego i steranego obecnie pustelnika w Sulejówku. Przyszłość pokaże jej realność. Reforma konstytucyi, ograniczenie niezdrowego sejmowładztwa tymczasem conajmniej w dziedzinie naprawy skarbu, powierzenie rządów ludziom naprawdę fachowym i co najważniejsze wolnym od skrajności partyjnictwa i przesądów oryentacyjnych czy masońskich z przebrzmiałej przeszłości i urojonej teraźniejszości staje się już hasłami szerokiego ogółu, coraz powszechniej zniechęconego do demagogii i sobkostwa suwerenów z ulicy Wiejskiej.



Życie Stolicy: Poseł Zygmunt Marek nie wydany przez Sejm Sądowi, złożył swój mandat do dyspozycyi klubu, oświadczając, że chce stanąć przed sądem.



Życie Stolicy: Gen. St. hr. Szeptycki, który podał się do dymisyi w związku z redukcyą budżetu wojskowego. Prezydent Wojciechowski przyjął jego dymisyę, powierzając mu nadal kierownictwo M. S. Wojsk.

Oczywiście robi się to według pięknej metody wyszydzania i zmięszania z błotem przeciwnika, by go niezwłocznie gloryfikować z chwilą pojednania. Dla Niemców ztąd prosta nauka, że nie straszna jest zaciekłość narodowej demokracyi i że jest ona niczem innem jak niepotrzebnem i poniżającem przypochlebianiem się Francyi. Wielka nasza zachodnia sojuszniczka pragnie w nas jednak mieć prawdziwego sprzymierzeńca i wspólnika, nie zaś żebrzącego sługi. I dlatego przedstawiciele jej tak demonstracyjną sympatyą darzą właśnie pionierów niezależnej i mocarstwowej polityki Polski na wschodzie Europy, obecnie niestety w bok odsuniętych. *A. R.*

Po wyborach w Anglii.

Wybory w Anglii zakończyły się klęską rządzącego obecnie stronnictwa konserwatystów, które osiągnęło wprawdzie największą stosunkowo ilość mandatów bo 256 straciło jednak w porównaniu ze stanem dotychczasowym 90 mandatów, a z tem i dotychczasową większość bezwględną w parlamencie. Wybory te wytworzyły w Anglii sytuacyę dotychczas nieznaną. Cały system parlamentaryzmu angielskiego aż do końca XIX. wieku polegał na podziale na 2 tylko obozy: większość bezwzględną sprawującą rządy — i opozycyę. Z chwilą wystąpienia na arenę Partyi Pracy układ ten się zachwiał. Zamiast dwóch powstały trzy obozy. Jednak do obecnych wyborów system stary zdołał się utrzymać — czy to dzięki koalicyi liberałów z częścią partyi konserwatywnej, czy to dzięki uzyskiwaniu przez jedną z trzech grup decydującej większości dla siebie. Dziś żadna z 3 grup nie posiada sama w sobie większości. Koalicya między liberałami a konserwatystami czy liberałami a Labour Party jest w obecnych warunkach dość trudną.

Parlamentaryzm angielski stanął więc wobec nowego dla siebie zadania, które nam jest znane od 4 lat i które tak wikła polskie stosunki polityczne: wobec konieczności utworzenia rządu przy parlamencie nie mającym w sobie gotowej większości. System polityczny Anglii będzie więc musiał dostosować się do nowej sytuacyi, wytworzonej przez olbrzymi i szybki rozwój ruchu społecznego w ostatnich kilku dziesiątkach lat.



Po wyborach w Anglii: Przywódca stronnictwa liberalnego Asquith.



Życie Stolicy: Senator Ludwik Hammerling, którego działalność amerykańska rozpatrywana jest obecnie przez Sąd Marszałkowski Senatu.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem Piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie przysłać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem Piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod nią nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Po wyborach w Anglii: Przywódca konserwatystów obecny premier Stanley Baldwin, który zapowiedział, że do połowy stycznia pozostanie u steru rządów.



Po wyborach w Anglii: Przywódca Labour Party Ramsay Mac Donald, który jako szef najliczniejszego po konserwatystach stronnictwa w Izbie obejmuje tradycyjne i oficyalne stanowisko „Leadera opozycyi".

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

5

Łucya, jak i jej wuj, odznaczała się żelazną wolą i zamiłowaniem do walki. Była jednak kobietą, to znaczy istotą, poddającą się zwątpieniom i zawodom i teraz czuła, jak wszystko się jej kręci w głowie. Lękała się, czy nie zemdleje albo nie ucieknie z krzykiem z tego salonu. Zawładnęła jednak swymi nerwami. Pozostała wyprostowana, sztywna i oczy jej, które przymknęły się na chwilę, patrzyły teraz wprost w twarz Lewisa Jacksona. Zbladła jeszcze bardziej, bladość ta jednak nie była widoczna na zwiędłej, pożółkłej cerze, świadczącej najlepiej o czterdziestym roku życia baronowej i jej ciągłych kłopotach. Przytem lampy, zaświecone w salonie, były pozakrywane ni kimi abażurami i oświetlały tylko nogi siedzących, podczas gdy twarze ich znajdowały się w półcieniu.

Milioarder mówił dalej:

— Opowiadanie jego bardzo mnie wzruszyło... Przekonałem się, że przygoda pani nauczycielki była na zupełniej podobną do historyi mej żony, u której znalazł się pakiet listów miłosnych, adresowanych poste restante.

— To dziwne! — rzekła baronowa.

Czuła się teraz pewną siebie. To znaczy, że przestrach jej był ciągle wielki, lecz tak nad sobą panowała, iż się z nim nie zdradziła.

Lewis Jackson, który śledził jej ruchy, wyraz jej twarzy, zmiany w brzmieniu głosu, nie dostrzegł nic podejrzanego.

— I myślałem — ciągnął dalej — czy ten zbieg okoliczności należy przypisać tylko wypadkowi, czy też te dwa podobne do siebie wypadki nie są dziełem jakich osób, genialnych w swej złośliwości, a zarazem pragnących zgubić w 1897 roku Magdalenę Maixent, a w 1916 Ludwikę Dubois.

— Czy chce pan przez to powiedzieć — rzekła baronowa — że spisek, jaki przed dwudziestu laty uknuto przeciw pańskiej żonie, powtórzono teraz względem nauczycielki mej córki?

— Tak — odrzekł zimno miliarder.

Łucya de Lagunan milczała przez chwilę, potem wzruszyła ramionami i odezwała się:

— To byłoby straszne!

Westchnęła i dodała zaraz:

— Na pierwsze jednak wejrzenie wydaje mi się to dość nieprawdopodobnem.

— Naprawdę? — zapytał Lewis Jackson.

— O, zupełnem. Wyrażam tu jednak tylko swe osobiste wrażenie, które nie ma wielki go znaczenia, gdyż nie jestem w stanie poprzeć go żadnymi dowodami... Pan domyśla się, że mój pogląd nie jest jeszcze dość ugruntowany... Nie wiedziałam nic o tem, co się panu przytrafiło i podobieństwo pańskiej przykrej historyi do tego, co się zdarzyło Piotrowi Cartelegue'owi bardzo mnie zadziwi... Sposób, w jaki pan chce to wytłómaczyć, wzrusza mnie niezmiernie... lecz trudno mi bardzo przyznać panu racyę!

Lewis Jackson siedział w milczeniu. Baronowa zdawała się zastanawiać nad czemś, potem mówiła dalej:

— Przypuszczenie pańskie na pierwszy rzut oka może się wydać prawdopodobnem, zdaje mi się jednak, że jest ono zbyt romantyczne, zbyt dowolne... Obawiam się... chcę raczej powiedzieć spodziewam się, że nie odpowiada ono rzeczywistości... podobna bowiem rzeczywistość byłaby zbyt straszną!

Łucya de Lagunan okazywała teraz tyle wzruszenia, ile potrzeba było, by nie wydać się obojętną. Przestała mówić, namyślała się znowu i tłómacząc dalej:

— Po gruntownem zastanowieniu się, nie znajduję nic dziwnego w tem, że przygoda pańska i Piotra są do siebie podobne... Prawdę mówiąc, są one zupełnie banalne.. Codziennie jakiś zakochany znajduje listy miłosne, adresowane poste-restante do tej, którą kocha... Chociaż pozory przemawiają za tem, że mamy do czynienia z ohydnym podstępem, nie mamy jednak żadnej pewności, że tak jest w istocie... Gdyby mię przekonała o niewinności panny Ludwiki Dubois, jestem gotowa wynagrodzić jej tę krzywdę.

Baronowa przybrała dostojną minę.

— Mimo to jednak nie bardzo pięknie u mnie się sprawowała! Przypuściwszy — w co wątpię — że rzeczywiście nie miała schadzek z panem Turnerem, to jednak pozwalała nadskakiwać sobie panu Cartelegue'owi, narzeczonemu mej córki.

Lewis Jackson uznał, że lepiej nie wspominać baronowej o porozumieniu się wzajemnem Piotra i Kamili.

Pani de Lagunan dodała w końcu:

— Ale mniejsza z tem! Jeżeliby się okazało, że zarzuty, jakie jej postawiono, są niesłuszne, to mimo jej zuchwałego i bezwstydnego zachowania się u mnie, przeproszę ją za wszystko. Jutro poradzę się nawet co do tego swego wuja.

— Bardzo to piękne, co pani zamierza uczynić — odrzekł niewzruszony Lewis Jackson.

— Przyjechał pan wprost z Nowego Jorku? — zapytała baronowa, zmieniając ton mowy.

— Dopiero przed chwilą.

— Co za niespodzianka dla pańskich dawnych przyjaciół! Od tak dawna już uważano pana za umarłego!

Miliarder przerwał odrazu rozmowę, która wchodziła na nowe tory. Wstał.

— Pani wybaczy mi — rzekł — że zjawiłem się o podobnej porze.

— Już pan odchodzi?

— Bardzo się spieszę.

— Zawiadomię pana o rezultacie poszukiwań, jakie przedsięweźmie mój wuj co do panny Dubois... Pod jakim adresem można do pana pisać?

— Przyszedłem tu wprost z dworca kolejowego i jeszcze nie wybrałem sobie hotelu.

— Mam zresztą nadzieję, że się zobaczymy?

— Proszę o tem nie wątpić!

Lewis Jackson skłonił się. Baronowa podała mu rękę. Uścisnął ją i ukłonił się jeszcze niżej, poczem wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy, szepnął do siebie:

— Nic! Nie wiele się nowego dowiedziałem. Co za spokój! Jaka pewność siebie! Jeżeli ta kobieta jest tak nędzną, jak przypuszczam, to jest większą dyplomatką, niż sadziłem.

Dorożkarz, który go przywiózł, na widok swego gościa otworzył drzwiczki dorożki.

— A teraz jedźmy do Dureta... — monologował dalej miliarder. — Lecz jeżeli Łucya nie straciła swej zimnej krwi, to ten bardziej zachowa ją ten stary wyga... Przypominam sobie jego twarz i dzisiaj, kiedy już znam ludzi, to samo przypomnienie wystarcza mi, by go ocenić... Jest on z rodzaju tych, których nic nie zmiesza...

Siadł do dorożki, kończąc rozmowę z sobą:

— Nawet gdyby mógł się wzruszać, to zanim zajadę do niego, będzie już miał czas oprząść się z wrażenia, jakie wywrze na nim moje zjawienie się i me podejrzenia... Siostrzenica zapewne mu już wszystko o mnie zatelefonowała...

Lewis Jackson nie mylił się. Baronowa natychmiast po wyjściu swego gościa zamknęła się w gabinecie, gdzie znajdował się telefon i kazała się połączyć z prezesem. Tak była wzruszona, iż musiała usiąść przy telefonie. Teraz, gdy nikt na nią nie patrzył, nie potrzebowała panować nad sobą, czuła, iż nogi uginają się pod nią.

Rozległ się dzwonek na znak połączenia.

— Hallo! — zawołała baronowa, chwytając za słuchawkę.

— Hallo! — odpowiedział głos Maksyma Dureta.

— To wuj?

— Ach! to ty, Łucyo?

— Tak.

— Słucham cię — mówił zaniepokojony filantrop.

Głos jego siostrzenicy był tak urywany, drżący, iż nie wiedział, czy położyć-to na karb wadliwości telefonu, czy też przypisać jakiemu poważniejszemu wypadkowi.

— Czy wiesz, czyja przed chwilą miałam wizytę? Juljana Maixenta.

Teraz zmienił się głos Maksyma Dureta, nie drżał on jednak jak głos siostrzenicy.

— Juljana Maixenta? Czyż on żyje?

— Przyjechał z Nowego Jorku.

Maksym Duret przeczuł odrazu grożące niebezpieczeństwo.

— Tak!

— Do dyabła!

— Domyślasz się wszystkiego?

— Nie trudno! Spotkali się tam pewnie z Piotrem i opowiedzieli sobie wzajemnie swe przygody.

— Mówił mi to właśnie!

— Czy ma minę, jakby podejrzywał kogoś?

— Nic o tem nie wspominał... Z wyrazu twarzy nie mogłam się niczego domyśleć....

— Ale przypuszczą, że to wszystko było umyślnie urządzone?

— Oczywiście.

— Pytam się, czy tylko przypuszcza, czy też jest tego pewny?

— Zdaje mi się, że jest pewny...

— Do dyabła!

Maksym Duret mlasnął językiem, co oznaczało u niego, że rzeczy idą źle.

— W każdym razie — mówiła dalej baronowa — mina jego nie dodała mi otuchy...

— Ach!...

— Jego milczenie, spokój i surowość wejrzenia nie wróżą mi nic dobrego... Hallo!

— Hallo! mniejsza o jego minę, jakie jednak wywarł na tobie wrażenie?

— Wydał mi się zmęczonym, zestarzałym, a co najważniejsza, że bardzo biednym...

— Tem lepiej! A tyś się dobrze trzymała?

— Nie źle.

— I powiedziałaś mu?..

— Że jutro rano rozmówię się z tobą w tej sprawie... Możliwe jednak, że jeszcze dzisiaj wieczorem będzie chciał sam się z tobą widzieć.

— Jest to nietylko możliwe, lecz nawet bardzo prawdopodobne...

— Jak to się może skończyć?

— Nic jeszcze nie wiem.

— Znaleźliśmy się w nieprzyjemnem położeniu...

— W bardzo nawet przykrem... Ach! ktoś dzwoni! Zapewne nasz gość!

Chwila milczenia, poczem znowu rozległ się głos prezydenta:

— To on!

Komunikacya została przerwana.

Pani de Lagunan powróciła do salonu. Popatrzyła do lustra i ujrzała w niem swą zmęczoną twarz.

Przykre położenie... bardzo przykre... — powtarzała sobie machinalnie.

Westchnęła głęboko i zacisnęła nerwowo ręce.

— I nie wiedzieć, co czynić! Można zwaryować z tego! Co wuj zdecyduje?

Po tym porywie gniewu uczuła się jeszcze bardziej osłabioną. Opadła na fotel i rozszerzone ze strachu źrenice utkwiła w kąt salonu, gdzie zaczęły zjawiać się przed nią straszne postacie, mężczyźni strzelający do siebie z rewolwerów, sędziowie w togach, więzienie, kobiety złorzeczące jej i wygrażające pięściami... Wszystko stawało się możliwem. Rozwód, morderstwo, ruina, więzienie — były to rzeczy, które mogły ją spotkać w najbliższej przyszłości. Przez dłuższą chwilę pozostawała w spokoju, nie ruszając się. Zdawało jej się, iż nigdy nie będzie już miała sił, by powstać z tego fotelu.

Jedenasta godzina wydzwoniła na pobliskiej wieży kościoła świętego Franciszka. Kamilla już spała, baron zaś był na jakiejś uroczystości w swym klubie, z którego nie wróci wcześniej, aż dopiero nad ranem. Nagle rozległ się dźwięk dzwonka przy głównem wejściu. Łucya de Lagunan w chwili tej miała wrażenie, jakby serce jej przeszywała szpada, lub przebijała kula rewolwerowa..

Powstała cała blada...

Drzwi do salonu otworzyły się i pokojówka wprowadziła Maksyma Dureta.

— Proszę, Małgorzato, nie czekać na mnie, aż wyjdę — rzekł prezes. — Pozostanę tu dość długo.

Służąca zamknęła za sobą drzwi.

Łucya z przestrasz onemi oczami, z na wpół otwartemi ustami, patrzyła na swego wuja, nie śmiejąc go pytać. Dobroczynny prezes odezwał się pierwszy.

— Nie więcej mnie powiedział, niż tobie... — rzekł. — Masz jednak racyę... Mina jego niebezpieczna..

— Czyż nie mówiłam?

— A ja od tylu lat nie myślałem nawet wcale o nim!

— Ani ja!

Duret spacerował wielkimi krokami po salonie.

— Trzeba działać! — zaczął. — Trzeba działać!... Julian Maixent podejrzewa nas... Czuję

to... Czy uda mu się zebrać jakie dowody przeciw nam... by wystarczyły do skazania nas sądownie — nie!... By mógł jednak przekonać się sam — tak! A uważam, że można go zaliczyć do ludzi, którzy w takim wypadku zaczynają strzelać z rewolweru. Nie byłoby to przyjemne...

— Nie! — potwierdziła Łucya.

— A tłómaczenia, jakie dałby na potwierdzenie swego czynu byłyby jeszcze mniej przyjemne! Jeżelibyśmy nie stracili swej skóry, to z pewnością utracilibyśmy wiele z dobrej reputacyi... Gdyby nawet publiczność nie podzielała zupełnie przekonań tego szaleńca, to i tak pozostalibyśmy w podejrzeniu...

Prezes zamilkł, nie przestając spacerować, poczem dodał:

— Musimy jak najprędzej rozprószyć jego podejrzenia, nie mówiąc nawet o podejrzeniach, jakie może mieć Piotr Cartelegue... w przeciwnym bowiem razie zginęliśmy... Trzeba działać!

Mimo to groźba niebezpieczeństwa, jakiej nigdy jeszcze w swem życiu nie doznawał nie bardzo go zatrwożyła z zmieszała. Przytomność umysłu mimo nich nie ruszona. Nie znajdował jednak żadnego wyjścia z tej przykrej sytuacyi.

— Trzeba działać? — rzekła jak echo baronowa.

Duret ruchem ręki nakazał jej milczenie. Namyślał się. Gdy już się zmęczył bezustannem chodzeniem od jednego rogu salonu do drugiego, rzucił się na fotel i z nogami, wyciągniętemi przed siebie, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, pozostał bez ruchu. Umysł jego pracował wszystkiemi swemi władzami, całą inteligencyą, lecz ciągle na próżno.

Północ już wybiła na wieży Świętego Franciszka.

— Co czynić? — powtarzał filantrop od czasu do czasu, jakby słowami temi chciał po budzić swą myśl.

Stwierdziwszy ostatecznie bezskuteczność swych wysiłków nad wynalezieniem jakiegoś sposobu dla wywikłania się z tej sprawy, uczuł naraz, jak ogarnia go jakiś smutek.

— Czyż jest to to, co nazywa się rozpaczą? — rzekł do siebie. — Nie znam jeszcze tego uczucia...

Jawiła mu się myśl ucieczki... Ujrzał się już, jak siada do wagonu... Wszystkie te widzenia rozwiał odrazu jakiś lekki trzask z sąsiedniego pokoju.

— Ktoś odkorkowuje butelkę w jadalnym pokoju... — rzekł prezes. — Lecz kto to może być? Sądziłem, że wszyscy już poszli spać... Oby tylko kto nie podsłuchał kto naszej rozmowy.

Baronowa skierowała się do drzwi łączących oba pok je. Otworzyła je i krzyknęła przeraźliwie. Jakiś mężczyzna stał przy kredensie i nalewał sobie kieliszek koniaku. Zielonawa zarzutka, żółty garnitur w czarne kraty, kapelusz o ekscentrycznym kształcie i trzewiki o grubych podeszwach i szerokich nosach, nadawały mu wygląd Amerykanina, zwłaszcza, iż twarz miał zupełnie w golona.

Popatrzył on uważnie na baronową i zabrał się najspokojniej do picia. Na stole stała otwarta torba podróżna, wyładowana srebrnemi łyżkami i widelcami.

Łucya de Lagunan cofnęła się i nie mogąc wymówić ani słowa, wskazała drżącym palcem na nieznajomego. Duret, który wstał, postąpił dwa kroki naprzód ku drzwiom, potem cofnął się o trzy kroki w tył i zawołał:

— Złodziej!

Prezes nie wychodził nigdy wieczorem bez rewolweru. Wyciągnął go z kieszeni i posunął się naprzód

— Poddaj się! — krzyknął.

Wszedł już do jadalnego pokoju, podczas gdy baronowa pozostała na progu.

Człowiek ten wypił naprzód koniak, postawił kieliszek na stole i rzekł z niezadowoloną miną, zwracając się do pani de Lagunan:

— Musiała pani koniecznie otworzyć te drzwi! Nie mogła mnie pani pozostawić w spokoju? Czy to ja pani przeszkadzałem, gdy dobierała się pani do pudełka swej nauczycielki, by wsadzić tam kompromitujące listy?

Duret zdawał się zamieniać w posąg.

— A pan prezes niech schowa swój rewolwer, bo ja wyjmę także brauning.. — rzekł, wsuwając rękę do kieszeni zielonawej zarzutki.

Przez kilka chwil panowało milczenie, przerywane oddechem Łucyi. Potem Duret opuścił broń, którą trzymał ciągle wymierzoną w przybysza.

— Kto pan jesteś? — zapytał głuchym głosem.

— Ernest Panajon, pickpocket, włamywacz i chloroformista.

— Poznaję pana... To pan usługiwał nam przed dwoma tygodniami jako „extra".

— Istotnie... Od czasu do czasu zmieniam rodzaj swego zajęcia.. W grudniu zeszłego roku byłem pułkownikiem... Spełniałem wtedy rolę szczura hotelowego na przestrzeni między Cannes a Mentoną.. Od miesiąca jestem „extra" w domu „Lambert i Durand", dokąd dostałem się dzięki fałszywym świadectwom... Co noc włamuję się do nowego mieszkania, zwłaszcza jeżeli udało mi się przedtem zbadać zamki od drzwi i szaf...

Duret i Łucya czoła mieli mokre, czuli zimny pot na całem ciele. Zależeli teraz od łaski tego człowieka, który dzięki wypadkowi posiadł ich tajemnicę.

— Zazwyczaj jednak — mówił dalej złodziej — wizyty swe składam dopiero o drugiej godzinie w nocy w pilśniowych pantoflach na nogach... Dzisiaj zjawiłem się nie o swej porze i w nieodpowiednim stroju, liczyłem bowiem na względy pani domu...

Ernest Panajon uśmiechał się teraz wesoło. Zajrzał jeszcze do kredensu, by przekonać się, czy nie zostało tam gdzie srebro, potem skierował się do salonu, mówiąc:

— Na stoliku widziałem ładne drobiazgi... Państwo pozwolą?... jest to emalia... Właśnie odbiorca mój z Australii prosił mnie w swym ostatnim liście, bym przysłał mu coś w rodzaju tego...

Osłupienie Maksyma Dureta, zdawało się, iż znikło zupełnie. Prezes ożywił się nagle, jakby mu zaświtała zbawcza myśl.

— Ma pan stosunki w Australii? — zapytał.

— Od dawna!

— I zna pan Australię?

— Australię? jak własną kieszeń!

Ernest Panajon przerwał na chwilę swe czynności, nie wiedząc, do czego prezes zmierza swemi pytaniami.

— I mówi pan po angielsku?

— Naturalnie... Władam również dość dobrze niemieckim... i znam trochę turecki język... Mieszkałem w Berlinie i w Konstantynopolu...

Odpowiedź tę dał w języku Szekspira. Duret, który z powodu swych interesów musiał często jeździć do Anglii, również znał go dobrze. Przekonał się, że Ernest Panajon mówi nim lepiej od niego.

— Akcent pan ma, jaki słyszeć się daje tylko w lepszem towarzystwie — rzekł.

— W innem też nie bywam.

— To dobrze.

Istotnie, złodziej nie mógł obracać się gdzieindziej, jak tylko między ludźmi z dobrze wypchanemi portfelami.

Maksym Duret zwolna odzyskiwał swą pewność.

Omdlewająca baronowa spoglądała na swego wuja ze zdziwieniem, które podzielał także i Ernest Panajon.

— Gawędzę jednak, a praca się nie posuwa... — rzekł złodziej — Proszę mi wybaczyć...

I przeszedł do salonu.

— Niech pan zostawi te emalie i resztę rzeczy — rzekł spokojnie prezes. — Nie otrzyma pan za to nawet stu luidorów... A może pan zyskać dwa tysiące...

Ernest Panajon obrócił się zdumiony.

— Zyskać dwa tysiące luidorów. W jaki sposób? — zapytał.

— Używając świata pod nazwiskiem Karola Turnera.

VII.

Podczas gdy u baronowej de Lagunan odbywała się ta dziwna scena, Ludwika Dubois szyła w swej izdebce na poddaszu przy ulicy Laugier. Młoda panna czekała na Ewę. W pralni była pilna robota. Piękna prasowaczka musiała kończyć spiesznie wyznaczoną sobie pracę. A przyjaciółka oznajmiła jej, że nie położy się spać przed nią. Wybiło już w pół do dwunastej, gdy wreszcie ukazała się Ewa.

— Dobra wiadomość! — zawołała wchodząc. — Marya już nie przyjdzie!

— Ta ruda, którą mi pokazywałaś poprzedniego dnia? — zapytała Ludwika.

— Tak... Wściekła była, że musiała pozostać tak długo... Straszna scena rozegrała się między nią a pryncypałową... Ach! gdybyś ty to była słyszała!

— Wolę raczej tego nie słyszeć!

— Panienka ma delikatne uszy?.. Puchną od słuchania brzydkich słów!.. Wystarczy jeden tydzień u matki Lambert, by się przyzwyczaić do tego... Polecam ci zwłaszcza Julię... tę wielką, chudą...

— wiem już...

— Zakasuje ona w grubiaństwie wszystkie przekupki z całego świata!... Wracajmy jednak do rzeczy!... Otworzyło się przez to w pralni jedno wolne miejsce.. Jeżeli naprawdę chcesz się wziąć do tego, to teraz nadeszła najlepsza chwila...

Od kilku już dni Ewa dawała Ludwice lekcye prasowania.

Nauczycielka opowiedziała pięknej prasowaczce swe przygody. Ewa wiedziała już, że młoda panna została oskarżona niesłusznie o złe prowadzenie się i wskutek tego utraciła miejsce i została opuszczona przez Piotra Cartelegue'a. Na czem w gruncie rzeczy miało polegać to złe prowadzenie się, tego nie wiedziała, gdyż Ludwika nie wtajemniczała jej w szczegóły. Biedna nauczycielka nie śmiała rzeczywiście wyznawać odkrycia u niej listów, podpisywanych przez Karola Turnera. Wydawało jej się to zbyt obciążającym na razie dowodem. Gdyby o tem wiedziano, wzruszanoby tylko niedbale ramionami wszelkie jej przysięgi o własnej niewinności.

Ewa była dyskretna i nie bardzo dopytywała się o fakta. Wystarczyło jej krótkie opowiadanie przyjaciółki, by mogła oburzać się na niegodziwość ludzi i wylewać łzy współczucia.

Dała jej przytem następującą radę:

— Od chwili, moja droga, gdy nie chcesz nic słyszeć o swej baronowej ani o osobach, które u niej poznałaś, trudno ci będzie bez świadectw i bez rekomendacyi znaleść nowe uczenice... Nie pozostaje ci nic innego, jak zarabiać na życie własnymi dziesięcioma palcami.. Chcesz, bym cię nauczyła prasowania?

I rzeczywiście wyuczyła ją tego.

— Mówiłaś pani Lambert, że jej przyprowadzisz nową prasowaczkę? — zapytała Ludwika.

— Mówiłam... Z góry już jesteś przyjęta... Liczy na ciebie...

— Boję się.

— Czego?

— Wszystkiego.

— Smarkata!

— Nie jestem jeszcze wprawna... A przytem... — zawachała się.

— A przytem — powtórzyła Ewa — lękasz się, by się z ciebie nie wyśmiano? Uważasz, że nie wyglądasz jeszcze na robotnicę? Prawda, to cię żenuje? Przyznaj się! Przedewszystkiem, moja księżniczko, nie wszystkie mają miny takie, jak gdyby przez całe życie pilnowały gęsi w polu.. I ja, chociaż nie przyjmowano mnie jeszcze na dworze cesarza chińskiego, umiem się znaleść w potrzebie... Zresztą, gdyby ci kto dokuczał, to możesz być spokojna nie będziesz potrzebowała się kłócić.. Ja dam sobie radę za dwie!

— Ja naprawdę jestem bardzo z tego zadowolona — rzekła Ludwika. — Będę ci wreszcie mogła oddać...

Ewa przerwała jej zaraz.

— Cóż to? Czyś ty mi winna cośkolwiek?

— Och! prawie wszystko.. Naprzód życie, potem odwagę do znoszenia wszystkiego i wreszcie zajęcie... Z tego jednak nie wypłacę się nigdy... Ale, moja droga, już tydzień, jak mnie karmi z i...

Piękna prasowaczka znowu nie pozwoliła jej skończyć:

— Ci ho!

— Powiedziałaś mi to już wówczas, gdyś mi przyniosła bulionu i uratowała od głodowej śmierci... Musiałam milczeć i wieczorem, gdyś mi podała obiad...

Ewa nie chciała wcale słuchać. Skierowała się do drzwi.

— No, dobrze! Milczę już znowu! — zawołała Ludwika.

— W sam czas! — odrzekła prasowaczka. — A więc, moje dziecko, z tem już skończone? Idziesz do matki Lambert.. Stałaś się robotnicą.. i na długo, niestety! ponieważ jesteś rozsądna, jak święta osoba na obrazie...

— A ty? Nie jesteś tak rozsądna, jak święta na obrazie?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnicze oczy.

(Powieść na tle notatek amerykańskich dedektywów).

4

— O nie pani, tem się nie łudziłem. Zmusić cię chciałem do tego tylko, byś została moją żoną, a spodziewałem się, że potem mię pokochasz, bo miłość twoją pierwej lub później zjednam sobie najgorętszem przywiązaniem i wiernością. Wyobrażałem sobie, że niepodobna abyś się bodaj nie ulitowała kiedyś nademną i nie odpłaciła mi choćby częścią wzajemności za wulkaniczną miłość bez granic.

— To pana nie usprawiedliwia, nie uniewinnia, panie Arteveldt! Przyprowadzić mię tu podstępem, było zbrodnią.

— Przyznaję. Jestem zbrodniarzem, zbrodniarzem z miłości. Ale to był jedyny środek, aby panią zmusić do oddania mi ręki. Wiedziałem, że pani uczuje się skompromitowana, znalazłszy się tu ze mną sam na sam. Dlatego nawet postarałem się o to, aby panią widzieli ci z moich znajomych, którzy u Ruthvenów bywają.

Był to straszny cios dla Leonory. Została skompromitowaną bez własnej winy, podstępnie. Co sobie u Ruthvenów o niej pomyślą? Świat w to nie uwierzy, że ją Arteveldt ściągnął podstępem. W jakiem świetle przedstawi się ludziom? Domyśliła się, że pani Warren uknuła ten szatański podstęp i uczuła dla tej kobiety najgłębszą pogardę. Arteveldta nienawidziła w tej chwili i pogardzała nim jeszcze bardziej. Ale cóż pomogą pogarda i nienawiść? Będzie narażona na obmowę, może nawet i Ruthvenowie i najlepsza przyjaciółka Kate Scaton, stracą dla niej szacunek?

Leonora zawsze taka silna, taka niemal żelazna, teraz czuła się jakby złamaną.

Wszystkie te uczucia: oburzenia i wstrętu, nienawiści i wstydu — dobywały się z głębi serca na twarz i tak się na niej wypisały wyraźnie, że Arteveldt nie mógł ich nie wyczytać. Sam siebie teraz przeklinał w duchu, bo lęk go ogarniał, że niegodziwy podstęp oddali go raczej od Leonory na zawsze, aniżeli z nią połączy.

— Panno Leonoro! ponownie zaklinam, wybacz pani!

— Wiedziałeś pan dobrze o tem, że jestem sierotą, że nie mam nikogo, ktoby się za mną ujął; wiedziałeś pan, że cześć moja jest jedynem mojem dobrem, jedynem mieniem, jedynem szczęściem. I na to wszystko targnąłeś się w sposób niegodny honorowego mężczyzny. Pańskie postępowanie jest wprost rozbojem moralnym?

— Ocali pani cześć, zostając moją narzeczoną. Rozpowiem przyjaciołom i znajomym, powiem w domu Ruthvenów, żeśmy się zaręczyli i poszli do kabalarki, która mieszka w tym domu, a tylko przypadkowo dostaliśmy się do domu gry

Leonora namyślała się długo, potem rzekła siląc się na spokój:

— Istotnie, masz pan słuszność. Muszę zostać pańską narzeczoną.

Arteveldt nie spodziewał się tak szybkiej decyzyi, więc uszczęśliwiony, drżący ze wzruszenia, zbliżył się do Leonory i chciał ją ująć za rękę

— Zawcześnie panie Arteveldt. Proszę odłożyć wszelkie te objawy miłości aż do czasu, gdy pańską żoną zostanę Tego żądam. tego wymagam. jest to jedyny warunek, pod jakim skłoniłam się zostać pańską narzeczoną.

VIII.

Niespodziane zaręczyny Leonory były dla wszystkich zdumiewającą zagadką. Tłumaczono ją sobie w rozmaity sposób. Kate Scaton, Ruthvenowie i ci. którzy mieli sposobność dokładnie ją poznać, upatrywali w tej nagłej decyzyi objaw energii i stanowczości, inni sądzili rzecz po swojemu. Bogaty Arteveldt był tak ponętną partyą nawet dla posażnych panien, że nie dziw, iż panna uboga tem chętniej została jego narzeczoną.

Kate Scaton, nie wiedząc o niczem, nie domyślając się podstępu Arteveldta, cieszyła się bardzo, że jej przyjaciółka „robi tak świetną partyę".

Dziwiła się atoli, widząc obojętność Leonory dla narzeczonego, ale tłómaczyła to sobie po części tem, że Leonora przez delikatność nie chce w cudzym domu pozwalać sobie nawet tej swobody, do jakiej najzupełniejsze miała prawo jako narzeczona. Po części składała też przyczynę tej obojętności na niezwykły charakter swej przyjaciółki

Arteveldt chcąc nie chcąc musiał się godzić z losem, pocieszając się nadzieją, że po ślubie wszystko się zmieni. Tymczasem zajmował się skrzętnie urządzaniem mieszkania, zaniechawszy zupełnie uczęszczania do klubów.

Raz wieczorem wrócił Stuart do domu nieco wcześniej niż zwykle bo miał się udać do Durandów na herbatę. Właśnie co zrzucił z siebie ubranie kobiece po wizycie u Bradmardina, gdy niespodziewanie zjawił się u niego Arteveldt.

— Co się z panem dzieje? — zapytał jeszcze w progu — Nigdzie pana nie widuję. Mówił mi Fergus, że pan teraz bywa niemal codziennie u Durandów

Stuart słuchał tego z niemałem zdziwieniem, bo sobie nie umiał wytłómaczyć, skąd Fergus o tem wie, skoro tam nie bywa. „Trzeba się mieć na baczności", pomyślał. „To opiekowanie się Fergusa moją osobą, jest mi bardzo podejrzane".

— Rzeczywiście panie Arteveldt, od czasu pańskich zaręczyn nie widzieliśmy się podobno, No i bardzo pan szczęśliwy? Może mię pan zechce przedstawić swojej narzeczonej? Muszę sobie koniecznie wybrać jakiś wieczór i spędzić go u Ruthvenów, żeby się pannie Armyn przedstawić.

— Bardzoby mi to pochlebiało — odpowiedział Arteveldt z niejakiem zakłopotaniem — ale moja narzeczona stanowczo zażądała, abym przyjaciół i znajomych nie przedstawiał wcześniej, aż po ślubie. Właśnie przybywam zaprosić pana na ślub i wesele i to już za trzy tygodnie.

— Tak prędko?

— Ach panie, dla mnie i to za długo. Wynająłem już dom w najpiękniejszej dzielnicy i urządzam go po królewsku. To mię cokolwiek dziwi, że moja narzeczona domaga się zbytku i wykwintu. czego się po panience skromnej i nieposażnej nie było można spodziewać. Chociaż mię to dziwi, jednak nie odmawiam jej niczego i zaspakajam wszystkie kaprysy. Nasze mieszkanie będzie niezawodnie najwspanialsze w całem mieście. Musi je pan jak najprędzej zobaczyć.

— A czy mama pańska już się z tem pogodziła? Przypominam sobie, że było matki pańskiej gorącem życzeniem, żeby się pan ożenił z panną Durand.

— Istotnie, matka moja sobie tego życzyła, ale ja nie miałem wcale zamiaru żenić się z panną Laurą. Jednak skoro już o tem mowa, będę miał prośbę do pana. Pan już na takiej przyjacielskiej stopie u Durandów, że to nie nie będzie niewłaściwe, jeżeli pan od niechcenia wybada pannę Laurę. co też ona myśli i mówi o mojem małżeństwie z panną Armyn.

— Cóż panu na tem zależy?

— Ot tak, właściwie nic — jąkał się Arteveldt — ale bądź co bądź bywałem tam częstym gościem, uważano mię za przyjaciela.

— A świat uważał pana za narzeczonego — dodał przerywając Stuart.

Mylnie, mylnie, jak już panu tyle razy mówiłem. Ale niech się pan dowie, bardzo proszę. Ot, tak od niechcenia, w rozmowie obojętnej A teraz, ponawiam zaproszenie na ślub i wesele.

Arteveldt wyszedł, a Stuart zastanawiać się zaczął nad tem, dlaczego właściwie do niego Arteveldt się udał z prośbą o wybadanie panny Durand.

Przebrawszy się poszedł do Durandów, gdzie go już z upragnieniem wyczekiwano, bo istotnie stał się tam ulubieńcem całego domu

— Czy pani widziała już narzeczoną Arteveldta? — zapytał Stuart Laury obojętnie.

— Nie miałam tej przyjemności — odpowiedziała Laura na pozór obojętnie, a jednak z przekąsem. — A pan?

— Także nie.

— Właściwie należało mi być drużką — mówiła Laura dziwnie się śmiejąc, — boć to przecie pan Arteveldt bywał u nas tak częstym gościem, że należał już jakby do rodziny.

— Widziałem dziś Arteveldta; opowiadał mi, jak po królewsku urządza mieszkanie.

— Skoro majątek mu na to pozwala, dlaczegóż sobie nie ma na to pozwolić?

Tą udaną obojętnością nie dał się Stuart wywieść w pole, bo wyczytał i z oczu i z twarzy panny Durand, jak bardzo wysila się na to, aby ukryć zazdrość i żal.

„Takie tłumione wulkany wybuchają strasznie" myślał Stuart. „Wygląda mi to na początek jakiegoś dramatu".

* * *

Matka Arteveldta ani mówić sobie o tem nie dała, aby syn mógł się ożenić z jakąś zupełnie obcą, biedną dziewczyną nieznanego pochodzenia.

Raz nawet było bardzo przykre starcie matki ze synem, gdy pani Arteveldt oświadczyła, że się uda do „owej podstępnej intrygantki", która jej syna zbałamuciła i wręcz jej oświadczy, że jej nigdy za synową nie uzna.

Arteveldt, wiedząc że matka zawsze to wykonuje, co postanowi, wyprawił natychmiast do narzeczonej posłańca z następującym listem:

„Najdroższa Leonoro! Matka moja sprzeciwia się naszemu małżeństwu i pragnie cię osobiście nakłonić do tego, abyś się mnie wyrzekła. Nie daj się zachwiać; matka moja widząc twoją stanowczość, w końcu się zgodzi Zresztą jestem zupełnie niezawisłym, posiadam własny majątek, więc nie potrzebujesz się lękać niedostatku. Prawdopodobnie matka moja jeszcze dziś będzie u ciebie; bądź więc przygotowaną. Twój wierny aż do śmierci Frank".

Leonora przeczytała ten list z pogardliwym uśmiechem i wrzuciła go w ogień.

O godzinie piątej zatrzymał się wspaniały ekwipaż przed domem Ruthvenów i dumna wykwintnie ubrana pani Arteveldt weszła do mieszkania.

— Czy mogę się widzieć z panną Leonorą Armyn? — zapytała wyniośle.

Pokojówka wprowadziła ją do saloniku.

Przypatrywała się wdowa po milionerze temu salonikowi z politowaniem i lekceważeniem. Była pewną, że Leonora natychmiast zjawi się w salonie, dowiedziawszy się o jej przybyciu, ale upłynęło już dziesięć minut, a „owa intrygantka" jeszcze się nie pokazała.

To było za wiele dla dumnej kobiety i wprawiło ją w takie rozdrażnienie, że była gotową do wybuchu niegrzeczności.

Aż wreszcie drzwi sie rozwarły, weszła Leonora zimna, poważna. Ukłoniła się uprzejmie, ale z książęca dystynkcyą. Pani Arteveldt nie spodziewała się tego wrażenia, jakie Leonora na niej wywrze. Musiała przyznać, że narzeczona jej syna jest postacią niepospolitą, majestatycznie piękna, mającą w swej postawie jakąś siłę, która do uszanowania zmusza.

Panna Leonora Armyn?

Leonora skłoniła głową.

— Jestem matką Franka Arteveldta.

— Domyślałam się tego — rzekła Leonora zimno, obojętnie.

Przybywam tutaj, aby pani osobiście oświadczyć, że jestem stanowczo przeciwną małżeństwu mojego syna z panią.

— Mogę nad tem tylko ubolewać — mówiła Leonora chłodno i z lekceważeniem.

— Więc miałabyś pani odwagę poślubić mego syna bez mego zezwolenia?

— Tak pani.

— I chcesz się pani wedrzeć między matkę i syna? Chcesz zdeptać mój spokój rodzinny? Znasz mego syna zaledwie kilka tygodni, więc go pokochać nawet nie miałaś czasu, a miłość tylko udajesz.

— Mylisz się pani. Miłości nie udawałam i nie udaję i stanowczo oświadczam, że syna pani wcale nie kocham.

To był cios dla matki niespodziany, a strasznie dotkliwy. Poczerwieniała z gniewu, ale się powściągnęła od wybuchu.

— Skoro się odemnie dowie o tem, coś pani w tej chwili powiedziała, wyrzeknie się nierozważnych postanowień.

— I teraz mylisz się pani.

— Jesteś pani zbyt pewną siebie. Chociaż Frank jest moim jedynym synem, jest jedynem szczęściem mojem, chociaż go kocham najtkliwszą miłością macierzyńską, przecież zdołam mu się sprzeciwić. Na to małżeństwo nie zezwolę nigdy. Słyszysz pani: nigdy, powiadam. Pani polujesz na majątek mojego syna i omotałaś go zręczną kokieteryą. Jeżeliby się odważył ożenić, noga pani w domu moim nie postoi nigy i nigdy w towarzystwie nie będziesz się mogła pokazać.

— Ani mnie to nie wzrusza, ani nie zastrasza, co pani w tej chwili powiedziała. Czy pani się zgodzi lub nie, to dla mnie zupełnie obojętne i żoną pana Arteveldta zostanę. Powiedziałam pani, że go nie kocham, bo ten wyraz miłość za słaby, aby nim określić to, co uczuwam dla pani syna. Majątku jego wcale nie potrzebuję, jak się pani o tem wkrótce przekona.

Leonora mówiła zimno, stanowczo, z odcieniem sarkazmu, ale tak spokojnie, że matka Arteveldta aż się uginała pod siłą tego spokoju. Czuła, że jej gniew, że jej ton niegrzeczny, są niedołężną bronią wobec takiego przeciwnika jak Leonora. I to ją upokarzało, a upokorzenie drażniło coraz bardziej. Więc jeszcze niecierpliwiej odpowiedziała:

To puste słowa moja pani. Nikt temu nie uwierzy; przechwałki nawet zuchwałe. Sądzisz pani, że niemi prawdę zasłonisz? Nietylko nie zezwolę na to małżeństwo, ale nawet mu przeszkodzę.

To się pani nigdy nie uda — odpowiedziała Leonora i zlekka zaczęła się podnosić z fotelu.

Arteveldtowa, spostrzegłszy ten ruch, zrozumiała, że Leonora dalszych niegrzeczności słuchać nie zechce i że ją samą w salonie zostawi. Nie chcąc się narażać na takie upokorzenie, powstała prędko, pożegnała Leonorę wymuszonem skinieniem głowy i wyszła.

Przez kilka dni wysilała się Arteveldtowa, ażeby syna odwieść od małżeństwa. Nie pomagały ani prośby, ani groźby, ani zaklęcia, Frank był niezachwiany w postanowieniu. Ażeby zakończyć wszelkie dalsze dyskusye, rzekł pewnego razu bardzo stanowczo:

— Kocham cię matko, ubóstwiam i chciałbym żyć dla twego szczęścia. Ale jeżeli Leonory nie uznasz za synową, opuszczę cię na zawsze i nigdy mnie nie zobaczysz. Dlaczego się sprzeciwiasz? Przyznałaś sama, że jest piękna, że ma wszystkie przymioty potemu, aby należeć do najwykwintniejszego towarzystwa i w niem nawet królować. Majątku nam nie potrzeba, bo to co mam, wystarczy do najzupełniej do utrzymania się na tym poziomie towarzyskim, na jakim jesteśmy. Wybieraj matko. Albo stracisz syna, albo zyskasz synową.

To rzekłszy, oddalił się spiesznie.

Matka Franka miała prawdziwą słabość dla Laury Durand i zrosła się z tą myślą, że Laura będzie jej synową. Przytem pragnęła powiększenia majątku i to były powody, że usiłowała odmawiać syna od Leonory.

Widząc jego stanowczość, ulękła się groźby nietylko jako matka, ale i jako kobieta, lubiąca jeszcze życie towarzyskie.

Gdyby ją syn opuścił, nie przeżyłaby tego jako matka, a jej uśmiechały się jeszcze ożywione salony. Zaczęła więc sobie zwolna perswadować, że to może i nie źle będzie, gdy syn z taką piękną żoną pojawi się w towarzystwie, że taka synowa będzie też siłą przyciągającą dla jej salonu. Tak więc po części miłość matki, po części próżność kobiety zwyciężyły dotychczasowy upór.

Pewnego wieczoru otrzymał Frank od matki list na eleganckim papierze do przeczytania.

— Chyba jesteś zadowolony? — mówiła pani Arteveldt. — Przeczytaj i oddaj swojej narzeczonej.

— Brak mi słów na wyrażenie mojej wdzięczności. Teraz to już nie wątpię, że mam kochającą matteczkę — odpowiedział Frank, przeczytawszy list takiej treści:

„Panno Leonoro! Sprawi mi to prawdziwą radość, jeżeli Pani zapomni o naszej rozmowie. Zbliżyłam się do pani z uprzedzeniem, ża co dziś szczerze przepraszam i proszę o tę przyjaźń i życzliwość dla mnie, jaką dla pani już powzięłam. Powinny nas przecie łączyć najserdeczniejsze stosunki, skoro masz wkrótce zostać żoną mojego syna. Gdy Frank pospieszy do pani, będę mu towarzyszyła. Ellen Arteveldt".

Leonora przeczytała list z wielkiem zadowoleniem i od owej chwili była już nieodstępną towarzyszką matki swego narzeczonego. Widywano je wszędzie razem, czy to w teatrach, czy na koncertach, czy też na wycieczkach; razem też załatwiały wszelkie sprawunki potrzebne do urządzenia mieszkania dla młodej pary.

Pani Arteveldt wymyślała coraz to innne szczegóły, byle tylko urządzić wszystko, jak można najwykwintniej.

Do willi nájętej przez Arteveldta przytykała druga taka sama. Obie były połączone oszklonymi kurytarzami tak, że w razie potrzeby mogły tworzyć mieszkanie dla jednej rodziny; wyglądały jak bliźniaki. Jedną wynajął Arteveldt, myśląc, że i drugą wynajmie jakaś rodzina zamożna. Niezmiernie było mu to nieprzyjemnie, a nawet przykro, gdy się dowiedział, że bliźniaczą willę najęto na pokoje gościnne dla tak zwanego „pensyonatu".

Na tydzień przed terminem ślubu, przyszła o zmroku do Ruthvenów jakaś dama, gęstym okryta welonem i pragnęła zobaczyć się z Leonorą. Poproszono ją do salonu, gdzie wkrótce ukazała się Leonora.

— Pani jesteś narzeczoną pana Franka Arteveldta? — zapytała nieznajoma, nie odsłaniając welonu.

— Tak pani.

— Chciałabym z panią o nim pomówić.

— Proszę bardzo, jednak nie wiem, z kim mam przyjemność oczekiwać?

— Przedewszystkiem muszę pani powiedzieć — zagadnęła nieznajoma — że Frank Arteveldt był już z inną prawie zaręczony.

— Cóż z tego?

— Honor go skłaniać powinien do spełnienia przyrzeczeń.

— Honor powiadasz pani — rzekła Leonora — czyż to nie bywa niekiedy tylko puste słowo.

— Skoro więc pani sądzi, że Frank nie ma poczucia honoru, dlaczego chcesz mu oddać swą rękę? Pani nie możesz być z nim szczęśliwą; nie dotrzyma ci wiary, choćby twym mężem został. Obłudnik! Przybywam tu w imieniu osoby, która Franka kocha, która bez niego życia sobie nie wyobraża, a której on mił ść przysięgał. Wyrzecz go się pani, zwróć go tej nieszczęśliwej, która przezemnie o to cię błaga.

— Tego nie uczynię.

— Uczynisz pani. Czytam w twoich oczach, że jesteś równie szlachetną jak piękną.

Źle pani wyczytał ś — rzekła Leonora tonem smętnym i jakby do siebie słowa zwracała.

— Zastanów się pani, rozważ dobrze — mówiła nieznajoma coraz niecierpliwiej, z coraz większem wzruszeniem. — Jeżeli oddasz Frankowi swoją rękę, spadnie na twoją głowę krew nieszczęśliwej; ona nie przeżyje utraty ukochanego. Pani niezdolną jesteś tak go pokochać, jak ona. Namyśl się pa no Armyn, niech myśl się dobrze, bo krew popłynie, jak Bóg na niebie!

Leonora podniosła się nagle i rzekła stanowczo:

— Proszę odsłonić twarz, proszę usunąć welon!...

— Tego nie uczynię.

— W takim razie zakończmy rozmowę W sprawie tak poważnej nie mogę dłużej rozmawiać z osobą nieznajomą. Nie zaprzeczysz mi pani, że ty sama jesteś tą, która Franka kocha; nie zaprzesz się tego, że przybyłaś tu w swej własnej sprawie, a nie w cudzej. Miej pani odwagę odsłonić się i powiedzieć, kim jesteś.

— A więc nie przeczę i nie zapieram się. Chcesz bym się odsłoniła, dobrze, uczynię to, jeśli mi przysięgniesz, że wszystko zostanie w tajemnicy.

Spełniam życzenie pani i przysięgam uroczyście.

— Czy Frank nie wspominał nigdy przed panią, że bywa częstym gościem u jakiejś rodziny, gdzie jest córka na wydaniu?

— Istotnie, wspominał mi o rodzinie Durand.

— Ja jestem Laura Durand — rzekła nieznajoma, zdejmując prędko welon.

— Nastała dość długa chwila milczenia. Leonora ciekawie przypatrywała się pięknej, uroczej blondynce i znać było, że patrzy na nią ze szczerą sympatyą.

— Panno Lauro! podziwiam panią, żeś do mnie przybyła w tej sprawie.

— Bo ja mam już prawo do Franka; pani mi go musi zwrócić.

Nie mogę, stanowczo powtarzam: nie mogę — rzekła Leonora ponuro.

— Gdybyś pani wszystko wiedziała, co ci chcę powiedzieć, gdybyś wiedziała, że...

Nie, nie, proszę mi nic nie mówić — przerwała Leonora. — Nic słyszeć nie chcę i nic mego postanowienia nie zmieni. Tylko śmierć rozłączy mnie z Frankiem.

Laura powstała jakby skamieniała i wyszeptała drżącym głosem:

Niech ci to Bóg wybaczy, ja wybaczyć nie mogę i nie wybaczę nigdy!

IX.

KRWAWE WESELE.

Stuart spieszył co tchu do domu, dopadł schodów i niecierpliwie dobywał klucza od mieszkania. Dochodziła godzina siódma; o siódmej ślub Arteveldta. Przyszedł, chciał być na nim, zwłaszcza, żeby raz już poznać Leonorę, które pięknością wszyscy się zachwycali, wszyscy o niej mówili.

Już wkładał klucz do zamku, gdy jakiś chłopiec zastąpił mu drogę.

— Czy pan Neil Stuart?

— Tak. Czegóż sobie życzysz?

— Mam list dla pana.

Stuart otworzył. Był to bilet Jocelyna.

— Kłaniał się panu.

Chłopiec odszedł. Stuart wpadł do mieszkania i czytał pismo przyjaciela z wielkiem zajęciem. Donosi mu Jocelyn, że est na tropie bandy szulerów i spodziewa się ją pochwycić, ale potrzebie pomocy Stuarta i o nią bardzo prosi. Pragnie koniecznie o 7-mej spotkać się ze Stuartem, liczy na jego przyjaźń i punktualność.

— Ej do dyabła, to już jakieś w tem zaklęcie — mruczał Stuart — żebym nie poznał panny Armyn. Już drugi raz Jocelyn mi w tem przeszkadza. Co za szkoda! Panna Armyn, miłe towarzystwo, wesele, a więc wieczór przyjemny jak rzadko. I to wszystko na nic! Ha, cóż robić? pierwsze posłuszeństwo niż nabożeństwo.

Zamiast ubierać się we frak, wyjął Stuart jedno ze swoich rozlicznych przebrań, ubrał się prędko i niespostrzeżenie wybiegł z domu, aby na oznaczonem miejscu spotkać się z Jocelynem przed siódmą.

* * *

Tymczasem we willi zebrał się po ślubie orszak weselny. Na żądanie Leonory przyjmowano gości nie u matki Arteveldta, tylko w mieszkaniu państwa młodych.

Zebrali się tam wszyscy przyjaciele rodziny Arteveldtów, prócz tego Ruthvenowie, Kate Scaton, pani Jessie Warren i jej przyjaciółka panna Burren. Byli też Durandowie, ale bez córki; Laura usprawiedliwiła nieobecność silną migreną.

Przyjęcie było wspaniałe.

Zastawa stołu pełna przepychu; woń kwiatów, obfite strumienie świateł, połysk kryształów, srebrnych naczyń i najprzedniejszej porcelany, do rajały się do bogatych ubrań kobiet, do połysku brylantów i szumu jedwabi.

W całem zebraniu był nastrój wesoły, swobodny, a gdy zasiedli wszyscy do bankietu trysnęły wnet szampany. Doktor Halle, długoletni przyjaciel rodziny Arteveldtów, i ich adwokat i opiekun, wzniósł kielich, napełniony szampanem, na cześć państwa młodych.

— Piękniejszej pary nie widziałem nigdy; oby była równie szczęśliwą jak jest piękną. Niech żyją państwo młodzi w jak najdłuższe lata!

Powstali wszyscy, podniesiono kielichy, żeby nimi trącić o kielich młodej pary, gdy nagle Leonora dała znak ręką, że chce przemówić. Wstrzymano się od trącania kielichami i patrzano ciekawie na Leonorę.

Ona, wyprostowawszy się dumnie, blada, siląca się, aby opanować głębokie wzburzenie, spojrzała iskrzącym wzrokiem po całem towarzystwie i odezwała się głosem stanowczym, donośnym:

— Zanim wychylą się toastowe kielichy na cześć pary weselnej, niech dowiedzą się wszyscy, w jaki sposób Frank Arteveldt zjednał sobie narzeczoną. Zanim go uczcicie toastem, dowiedzcie się, do czego był zdolny. Oto w porozumieniu z panią Warren i panną Burren, zwabił mnie podstępnie do takiego miejsca w którem skromna dziewczyna bez kompromitacyi znaleść się nie może. Korzystała ta spółka z tego, że jestem obcą w tem mieście, że go nie znam, że nie wiem o tych wstrętnych lokalach, których adresy znają te oto dwie panie. Zwabiwszy mnie tam, oświadczył z całą bezczelnością, że dlatego to uczynił, aby mnie zmusić do małżeństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wielki raid automobilowy: 1) Holowanie na Obidowej. 2) Komisye kontrolujące z gen. Rybińskim na czele oczekuje uczestników raidu przed Zakładem w Szczawnicy. 3) Postój w Szczawnicy. Fot. inż. Giuseppe Vaccarino.

Raid wojskowy samochodów ciężarowych

w okresie od 10 listopada do 10 grudnia.

5 firm samochodowych: Spa, Berliet, Renault, Fiat, De Dion Bouton.

(Wywiad z kpt. Szydelskim, zast. przewodniczącego komisyi kontrolnej).

Nasz wysłannik miał możność otrzymać od kapitana Szydelskiego, zastępcy przewodniczącego komisyi kontrolnej Departamentu Technicznego M. S. Wojsk parę szczegółów, tyczących olbrzymiego raidu wojskowych samochodów ciężarowych.

Nie trzeba zbytnio podkreślać znaczenia, jakie przedstawia dla młodej naszej armii sprawnie funkcyonująca służba samochodowa a specyalnie wytrzymałość wozów ciężarowych i półciężarowych.

Na wypadek wojny — a przewidywać to znaczy dowodzić — której możemy sobie wcale nie życzyć, ale do której przygotowani musimy być zawsze, spoczywa cały ciężar zaopatrzenia armii, ewakuacyi rannych i chorych, szybkiego przewożenia i przerzucania całych oddziałów wojsk — na sprawności wojsk samochowych i wytrzymałości wozów ciężarowych i możności przystosowania ich do naszych dróg. Drogi nasze — to chyba najważniejszy szkopuł — nie przypominają one bowiem wcale niestety tych pięknych, dobrze zbudowanych dróg zachodniej Europy.



Wielki raid automobilowy: Inżynierowie f. Ansaldo przy swojem aucie. Fot. inż. Giuseppe Vaccarino.

Mimo spóźnionej pory nocnej kpt. Szydelski, choć zmęczony podróżą chętnie udzielił nam informacyi, co więcej ułatwił nam zapoznanie się z p. inż. Giuseppe Vaccarino b. sympatycznym Włochem, od którego otrzymaliśmy szereg pięknych zdjęć z podróży, która dotychczas wynosi 2.500 klm. przeszło, po błocie, śniegu, górach i dolinach no i po szosach krajowych, które może wiele przedstawiają nieraz trudności, ale które wybadać dla celów wojskowych jest obowiązkiem odpowiednich władz.

Jakaż była tura tego raidu?

Warszawa—Łomża—Grodno—Lida—Wilno—Lida—Grodno—Białystok—Białowieża—Brześć nad Bugiem—Chełm—Lublin—Radom—Warszawa—Łódź—Kalisz—Łódź—Częstochowa—Kraków—Zakopane—Nowy Sącz—Kraków—Kielce—Radom—Warszawa.



Wielki raid automobilowy: Kierownicy raidu: kpt. Gatty Costial i dr. Tangel na drodze pod Czorsztynem. Fot. inż. Giuseppe Vaccarino.

Trzy tysiące pięćset kilometrów wzdłuż i wszerz Polski, cały miesiąc w drodze, prawie że bez poważniejszych uszkodzeń dojechały wozy w powrotnej drodze do Krakowa, by na 10-go stanąć w Warszawie.

W raidzie brało udział ogółem 19 wozów: po jednym ciężarowym i jednym półciężarowym daje każda z 5 firm, biorących udział w raidzie, t. j. Spa, Berliet, Renault, Fiat, De Dion-Bouton, pozatem 5 wozów firmowych i 4 wojskowe osobowe z komisyą techniczną, z przewodniczącym majorem Krajewskim, zastępcą kpt. Szydelskim, zarazem redaktorem czasopisma „Auto“, resztą członków komisyi kpt. Jędrychowskim, urz. wojskowym Radlińskim, dalej przedstawicielem departamentu przemysłu wojennego komandorem por. Sokołowskim, przedstawicielami Ministra Spr. Wojsk. pułk. K. K. Maciszewskim i majorem K. K. Tanglem.

Na każdym samochodzie znajdował się 1 oficer kontrolny, szoferzy w większości zagraniczni. Firmy biorące udział w raidzie reprezentowane były przez swych przedstawicieli i to: „Spa“ przez inż. Giuseppe Vaccarino, „De Dion“ przez inż. Galli, „Renault“ przez p. Kozieł-Poklewskiego, „Berliet“ przez p. Kraszewskiego, „Fiat“ przez Dyr. Marchlewskiego. W raidzie brał również udział w najważniejszych jego etapach gen. Rybiński jako szef. Departamentu Technicznego i pułk. Mroziński. szef wydziału wojsk samochodowych.

Wrażenia z Krakowa wynieśli raid'owcy jak najmilsze. Stojący tu w garnizonie V. Dyon samochodowy, pod dowództwem majora dr. Piotrowskiego, znanego w szerokich kołach wybitnego fachowca i sportsmena automobilowego — zaskarbił sobie szczerą sympatyę swych kolegów z raidu tak pod względem fachowo-wojskowym jak też towarzyskim.



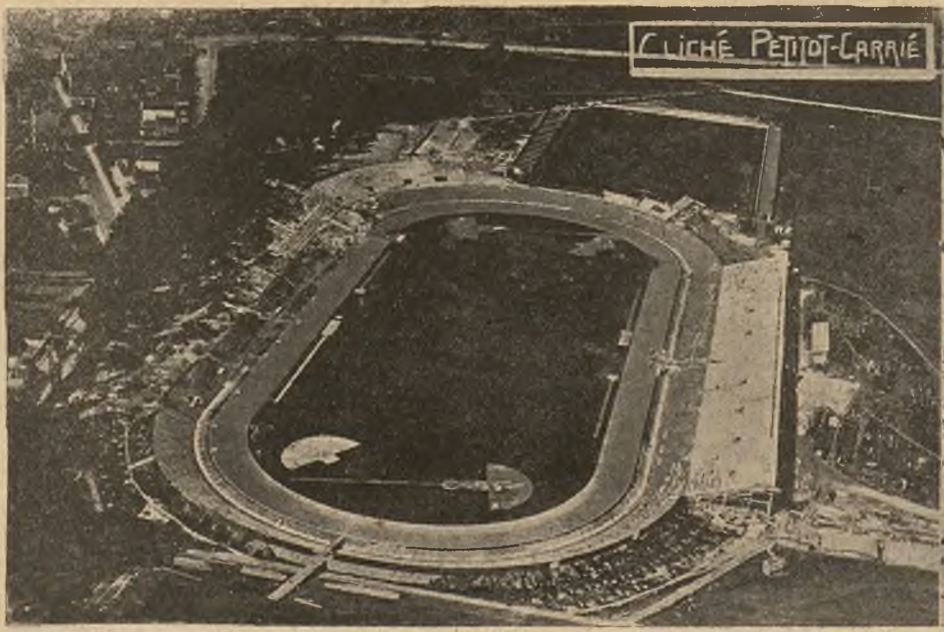
Wielki raid automobilowy: Auto włoskiej firmy SPA w Wieliczce. Fot. inż. Giuseppe Vaccarino.

Odjeżdżających w dalszą podróż uczestników raidu żegnał krakowski dyon samochodowy bankietem w hotelu Pollera.

* * *



Wielki raid automobilowy: 1) Próba holowania wykolejonego auta. 2) Auto czołowe na drodze pod Czorsztynem. Fot. inż. Giuseppe Vaccarino.





VIII. Olimpiada w Paryżu: 1) Widok olbrzymiego boiska sportowego w Colombes pod Paryżem. Zdjęcie wykonane z samolotu przez por. Petitot i por. Carrié z 34 p. lotniczego armii francuskiej. 2) Banda kamienna na zakręcie toru bobsleighowego zbudowana w Chamonix w Alpach.

Rozmowa z majorem Piotrowskim.

Dowódca dywizyonu automobilowego D. O. K. Kraków mjr. dr. Tadeusz Piotrowski, który przyjmował jako gospodarz uczestników raidu na terenie D O K. Kraków — udzielił nam uprzejmie chwili rozmowy, w której podkreślił najważniejsze punkty raidu.

— W jakim celu raid został zorganizowany? — zapytaliśmy na wstępie.

— W celu ściśle praktycznym. Ministerstwo Spraw Wojskowych ma zamiar zakupić dla potrzeb wojskowych znaczniejszą ilość wozów ciężarowych, półciężarowych i sanitarnych, nadających się na nasz teren i nasze polskie drogi. Raid więc jest rodzajem konkursu wozów, do którego stanęło 5 firm automobilowych. Firma, która w raidzie uzyska najlepsze wyniki otrzyma zamówienie M. S. Wojsk — i co jest ważną rzeczą dla rozwoju przemysłowego Polski — założy fabrykę wozów samochodowych w Polsce. Fabryka ta wyrabiałaby początkowo wszystkie części aut prócz silników, które sprowadzane byłyby z zagranicy.

— Jak pan major naogół ocenia wyniki dotychczasowe raidu?

— Naogół uznać je należy za całkiem zadowalające. Wypadków nie było. Defektowały wozy dopiero po przebyciu 3.000 km. — w drodze powrotnej, uszkodzeniu ulegały głównie resory — i to dzięki strasznemu wprost stanowi mostów. Na drodze Kraków — Lwów pod Bochnią komendant raidu obawiał się puścić przez most nawet wóz półciężarowy. Również między Gdowem a Wieliczką zaiedwie Berliet przejechał.

— Jakie firmy brały udział w konkursie?

— Ogółem 5 z tego 3 francuskie: Berliet, Renault, De Dion-Bouton, i 2 włoskie: Spa i Fiat.

VIII. Olimpiada.

Wielkie święto całego świata sportowego, wskrzeszające dawne tradycye greckich igrzysk olimpijskich odbywać się będzie w r. 1924 we Francyi. Zjadą tam współzawodnicy wszystkich narodów świata i wszystkich dziedzin sportu by walczyć o palmę pierwszeństwa dla siebie i swego kraju. Główne uroczystości odbywać się będą w lipcu 1924 roku w Paryżu, gdzie na specyalnie zbudowanym stadionie w Colombes pod Paryżem rozegrane zostaną zawody lekko-atletyczne, cyklistowskie i foot-ballowe. Jednak już w styczniu w Chamonix w Alpach francuskich odbędą się pierwsze zawody olimpijskie z zakresu sportów zimowych: narciarstwa i saneczkowanie. Z olbrzymim nakładem kosztów wybudowany tam został tor saneczkowy i odskocznia dla skoków narciarskich. Z polskich narciarzy 4 zostało wydelegowanych na te zawody przez polski Komitet igrzysk





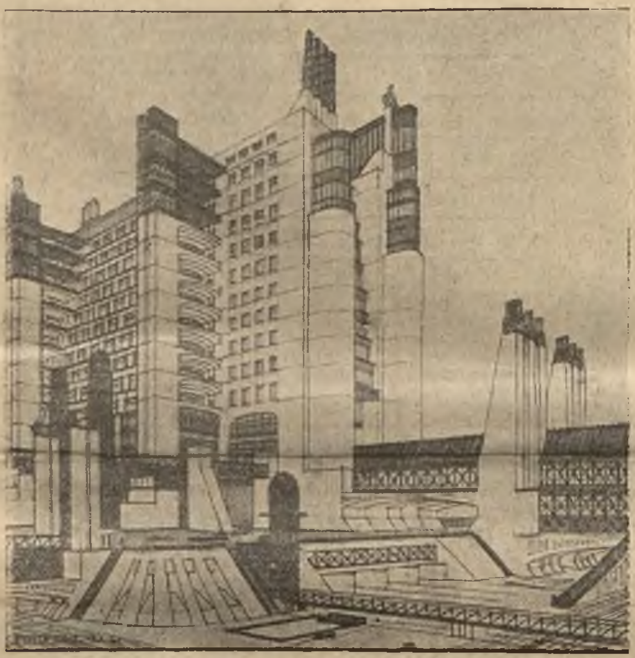
VIII. Olimpiada w Paryżu: 1) Dudowa odskoczni o wysokości 77 m. dla narciarzy w Chamonix. 2) Budowa kolejki linowej na szczyt górski, mającej służyć do wciągania saneczek i zawodników pod górę.



Rocznica listopadowa we Lwowie: Uroczysta wieczornica ku czci powstania listopadowegow Teatrze Wielkim we Lwowie. 1) Zespół „Koła dramatycznego Zarząou Legionistów“ z p. Niewiarowiczem w roli Wysockiego. 2) Niki z Pallas Ateną (p. Janina Czepiec) w prologu Nocy Listopadowej.
(Zdjęcia wykonane przez Biuro Illustracyjne M. Münza we Lwowie).

Olimpijskich, gdyż reguły Olimpiady dopuszczają do współzawodnictwa tylko po 4 zawodników z każdego narodu.

W niniejszym numerze zamieszczamy fotografie przygotowań, nadesłane z Paryża przez Sekcyę Prasową Komitetu Wykon. VIII. Olimpiady.



Co to jest futuryzm? Saint Elia-Miesto futurystyczne.

Uroczysta wieczornica listopadowa
we Lwowie.

W niedzielę dnia 2 b. m. w sali Teatru Wielkiego we Lwowie odbyła się uroczysta wieczornica listopadowa urządzona staraniem lwowskiego „Związku b. legionistów“. Władze wojskowe udzieliły organizatorom wybitnej pomocy, użyczając orkiestry 26 pp., która odegrała na wstępie poloneza Chopinowskiego. Przemówienie o znaczeniu powstania listopadowego dla narodu i o „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego wygłosił red. Włodzimierz Jampolski. Chór „Echa“ pod batutą dyr. Ringla odśpiewał 2 pieśni, art. dram. Roman Nierowski i art. opery p. Helena Lipowska uświetnili wieczór solową deklamacyą i śpiewem. W drugiej części wieczoru zespół „Koła dramatycznego Związkn b. legionistów“ odegrał pod reżyseryą p. Stanisława Czaszki — fragment „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego, z p. Romanem Niewiarowiczem w roli Wysockiego.

Wieczornica wywarła na uczestnikach silne i miłe wrażenie.

Co to jest futuryzm?

Kiedy ktoś ma przed sobą wiersz, w którym koniec wydaje mu się początkiem a środek czekoladą nadziewaną śledziem, wówczas nie wątpi ani na chwilę, że ma przed sobą wiersz futurystyczny. Kiedy złodziej, zakradłszy się do banku, w największej i najbardziej ponętnej kasie znajduje tylko drewnianią piszczałkę, wówczas pierwsza jego myśl wyraża się słowami: „Psiakiew! Ten bank to chyba jest jaki futurystyczny!“



Co to jest futuryzm? Redaktor polskiego pisma futurystycznego „Zwrotnica“.

Wszystko co dziwne, niespodziane, nielogiczne, wszystko co zawiera w sobie urok niezwykłości lub smak szaleństwa, wszystko co oślepia fantazyą lub straszy absurdem, to wszystko uchodzi u nas za treść futuryzmu. Po części może i słusznie. Ale tylko po części. Czem jest futuryzm w istocie, co daje, czego się można po nim spodziewać, jakie wnosi istotne wartości, oto zagadnienie, które u nas mimo wszystko, jeszcze do dnia dzisiejszego nie znalazło należytej odpowiedzi. Dopiero ostatni numer *„Zwrotnicy“* pozostającej pod redakcyą Tadeusza Peipera przyniósł kilka doskonale napisanych, treściwych, jasnych, dla wszystkich dostępnych, a mimo to źródłowych artykułów teoretycznych o futuryzmie, poprzedzonych znakomitym wstępem twórcy włoskiego futuryzmu Mariniettiego.



Co to jest futuryzm? Boccioni — Spiralna ekspanzja muskułów w ruchu.

Senzacyjny proces w Warszawie!



1) Ś. p. Zofia Rokossowska, zabita wystrzałem rewolwerowym przez męża swego Piotra Rokossowskiego w dniu 20 maja 1923 r. w lokalu „Nirwany“ w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 73. Zdjęcie przedstawia Rokossowską w chwilę po dokouanym morderstwie.

2) Żonobójca Piotr Rokossowski. — Zdjęcie po dokonanym zabójstwie.

Rokossowski skazany został wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie na 4 lata ciężkiego więzienia i za kaucyą 150 milonów mkp. wypuszczony chwilowo na wolność. W ostatnich dniach aresztowano go ponownie. (Zdjęcia wykonane przez Pol. Państw.).

Od Administracyi.

Adminisracya „Nowości Illustrowanych“ przyjmuje dodatkowe zamówienia na numery gwiazdkowe i noworoczne do dnia 21 grudnia 1923 r.

Z powodu bardzo znacznego podrożenia robocizny i wszystkich artykułów połączonych z wydawnictwem cena egzemplarza „Nowości Illustrowanych“ podwyższoną zostaje do Mk 200.000

KAWALER, ze starej rodziny na wysokim stanowisku z powodu braku znajomości, po powrocie z Ameryki zawiąże znajomość z panną lub młodą wdową.— Cel matrymonialny.— Zgłoszenia nieanonimowe z fotografiami nadsyłać do administracyi „Nowości Ill.“ pod literę **B. N.**

WYJDĘ ZA MĄŻ, za człowieka na dobrem stanowisku, najlepiej za właściciela ziemskiego. Wiadomość w Ad. „N. Illustr.“ pod T. **B.**

POSZUKUJE SIĘ POŻYCZKI w walucie zagranicznej, dla b. dobrze prosperującego przedsiębiorstwa przem.-handlowego na b. dobrych warunkach. Wiadomość w Ad. „N. Illustr.“ pod **„Z. G.“**

POSZUKUJE POKOJU młody, solidny człowiek na dogodnych warunkach może być z utrzymaniem. Zgłoszenia w Ad. „N. Illustr.“ pod **W. W.**

WŁADZE:

Województwo, ul. Basztowa l. 26, tel. 1141; godziny przyjęć wojewoda od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3, dla stron od 10—1. **Starostwo krakowskie,** ul, Starowiślna l. 13, tel. 3554; godziny przyjęć: starosta od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3, dla stron od 10—1. **Magistrat,** plac WW. Swiętych l. 3, tel. 46; godz. przyjęć w prezydjum miasta: od 12—2 z wyjątkiem niedziel i świąt; godziny urzędowe od 8—12. **Dyrekcya kolei państwowych,** plac Matejki l. 12, tel. 2458; godziny przyjęć; prezes dyrekcyi od 11—1, godz. urzęd.: od 8—3 zwyjątkiem niedziel i świąt. **Dyrekcya policyi,** ul. Krupnicza l. 34, tel. 458; godziny urzędowe: od 8—3.

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński. — Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.